Cena 35 groszy.

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK
wydawany staraniem Samopomocy Szkół Średnich w Częstochowie.

ROK VII. CZĘSTOCHOWA, MARZEC 1933 R. Nr. 3 (44).



Napoleon I — Mąż stanu nie na to jest stworzony, by być wrażliwym. Jest on zupełnie samotną, po jednej stronie stojącą osobistością, której cały świat przeciwstawia się z drugiej.

CO CZYTAĆ?

Mount Everest — Jalu Kurek.

Jest to hymn wyśpiewany pięknym, prostym językiem przez entuzjastę na cześć dwóch młodych alpinistów Mallory'ego i Irvine'a. Z zapartym tchem czyta się opis tej wyprawy w r. 1924, której celem zyło zdobycie niezwyciężonego szczytu himalajskiego, przez grupkę Europejczyków. Z dreszczem grozy śledzimy bohaterskie wysiłki spinaczy, zapatrzonych w swój cel, walczących niezmordowanie z olbrzymiemi przeszkodami, niestrudzenie ponawiających ataki — aby w końcu ulec, zostawiając na straszliwie samotnych lodowcach Mount Everest najlepszych i najwytrwalszych swych towarzyszy Mallory'ego i Irvine'a. Autor książki osiągnął swój cel — czytelnik nie zapomni tych dwóch postaci promiennych, i młodzieńczych, które tak rzadko spotyka się na jednostajnych, szarych drogach codziennego życia.

Największe zwycięstwo — St. Zaleski.

Pięć nowel, z których dwie pierwsze poświęcone są pięściarstwu, a trzy sportowi wodnemu, stanowi tom pod powyższym tytułem. We wszystkich występują ludzie młodzi i silni, wyrobieni sportowo, uporczywie zdążający do wytkniętego sobie celu. Tak w tytułowej noweli młody robotnik „odkryty" przez managera, przechodzi szczeble karjery pięściarskiej, przechodzi kryzys moralny, by w ostatecznem rozstrzygnięciu dopiąć do największego zwycięstwa nad sobą. Druga z rzędu „Rękawice śmierci" — o tak ponurym tytule a jakże pogodnem zakończeniu — przykuwa uwagę czytelnika, potęguje jego zaciekawienie, by w końcu wywołać śmiech z rozpowszechnionego wśród ludzi zabobonu. Rozwijający się u nas jachting morski i włóczęga kajakowa nastręczyły autorowi tematu do niezwykle ciekawych nowel „Na Rybitwie" i „Zaginiony kajak". Wreszcie w ostatniej nowelce „Przeklęta łódź" — niezwykły zbieg okoliczności i ponure tło robią niesamowite wprost wrażenie.

Każda nowelka odznacza się żywą akcją i dobrze oddanym nastrojem, tło każdej jest inne — lecz ponad wszystkiemi unosi się prawda, i największem zwycięstwem jest to, które człowiek zdobywa w walce z sobą samym.

Z Karpat — Władysław Burzyński.

Życie spędzone w głuszy borów karpackich pozwoliło Dr. Wł. Burzyńskiemu podglądnąć niejedną tajemnicę leśną skrytą gąszczem smreków przed okiem ludzkiem. Autor wprowadza nas w zamierający już dziś świat łowów na grubego zwierza w Karpatach Lesistych. Z kart tej książki przemawia do czytelnika zapalony myśliwy, który upolował w przeciągu 25 lat niejednego rysia, wilka, dzika a nawet niedźwiedzia. Aż dziwnem się wydaje, że nasze Karpaty tak obfitują w grubego zwierza i że polowanie nań, ten najwspanialszy sport, pełen emocji i wrażeń, ma właśnie w granicach naszego kraju takie znakomite tereny. Niezmiernie ciekawe są poza tem spostrzeżenia tyczące się dzikich zwierząt, które porobił autor bądź to wychowując, bądź też obserwując je w ostępie, na swobodzie.

Lecz opowiadania myśliwskie „Z Karpat" zainteresują nietylko tych, kogo przykuć potrafią relacje o tropieniu niedźwiedzia, o spotkaniach z rysiem i wilkiem, opowiedziane z inteligentną prostotą. Sporo ciekawych rzeczy znajdzie tu i krajoznawca. Na czasie jest ta książeczka szczególnie dziś, kiedy opisane w niej okolice — Huculszczyzna — stają się centrum zainteresowań naszych turystów i etnografów.

Wicher — inż. Stanisław Szczawiński.

Zamiłowanie do sportu jeździeckiego i znawstwo koni bije z każdej stronicy tej książki, każde zdanie jest tak zwięzłe i bezpośrednie, że ze szczerem wzruszeniem czytamy dzieje „Wichra". Autor prostemi, jasnemi słowami opisuje szkołę, którą przejść musiał jego koń, aby z młodego pełnego temperamentu i fantazji źrebaka, stać się pierwszorzędnym wyścigowcem. „Wicher" jest tak przemiłem stworzeniem, że bez trudu zyskuje sympatję czytelnika, który mimowoli staje się zapalonym „koniarzem" i z zainteresowaniem śledzi wszystkie etapy wychowania bohatera książki, przygotowania do raidu, jego przebieg i ostateczny wynik — zwycięstwo „Wichra".

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK

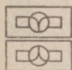
wydawany staraniem Samopomocy Szkół Średnich w Częstochowie.

ROK VII. CZĘSTOCHOWA, MARZEC 1933 R. Nr. 3 (44).

Na dzień 19-go marca.

Kto zbudził drzemiące, gdzieś w mrokach, ogromy.
I rzucił w świat gromki okrzyk: „Legjony!“?
Niepomny na swoje krzywdy i łzy
Szedłeś w wir walki o Wodzu. Ty,
Pracując wiernie dla sprawy świętej,
Trwałeś w tej pracy na się podjętej.
Nie znałeś szczęścia, a tylko żal,
Samotny szedłeś w Sybirską dal.
Cicho na ziemię mrok nocy schodzi,
O Tobie myślą starzy i młodzi.
Ty jesteś także naszym ideałem,
Do Ciebie dążymy, sercem całem.
A więc dziś w dzień tak uroczysty,
Gdy tysięcznych modlitw popłynie szmer czysty,
Niechaj w nich ta prośba powstanie:
„Wodza Narodu zachowaj nam Panie“.

W. G.
G. P. J. S.



Kochanemu Wodzowi!



„Kto duszy żąda, duszę dać musi, kto sięga po duszę — duszą swoją płaci".

(J. Piłsudski).

Rzutami śmiałych i twardych rysów cieniuje się postać Marszałka w rozpacznej beznadziei położenia, — co od upadku powstania styczniowego do wojny światowej znaczyło się największem upodleniem i poniżeniem myśli polskiej.

Wśród zbożowego krajobrazu ze siwem, chłopskiem niebem, z rozbitą armatą na miedzy i powaloną kulami chałupą — twarz ludzka. Jak na symbolicznym portrecie. Dziwna twarz. O wydłużonej poważnie linji, podłutowana wyraziście, z wiechą polskich wąsów i oczami, zaczepionemi uparcie w jakąś myśl. Twarz żołnierza-mędrca. Tego, który wyszedł naprzeciw śmierci z mieczem i uśmiechem.

Niedawne to czasy!

Na rozkaz sumienia staje się jednym z kierowników i organizatorów ludu polskiego. I tak, jak Naczelnik Kościuszko przywdział chłopską sukmanę, tak Józef Piłsudski nakładając na swe ramiona bluzę robotniczą, sięgał do tej niewyzyskanej w owej świętej Służbie siły; tym wiecznie skołatanym i wynędzniałym bohaterom ustawicznej pracy, wskazywał cel życia i ich trudu, a przez uspołecznienie dawał mandat obywatelstwa. Dla tych to ludzi wydawał pisma i odezwy, wiedział bowiem, że pierwszym orężem w walce, jest słowo drukowane. Serce całe uwięził w tej tajnej drukarni, siły swoje włożył w czcionki, był bowiem jednocześnie redaktorem, zecerem i kolporterem. Ludzie pisma czytali, brali w siebie te ciepłe pokarmy, które rozdawał drżącą ze szczęścia ręką. I przyszedł dzień 22 luty, dzień, w którym Piłsudskiego aresztowano i osadzono w X Pawilonie cytadeli Warszawskiej, za pracę nad odrodzeniem polskich dusz.

Zbiegłszy, nie opuścił rąk. Wstał do pracy o rewolucyjnej zorzy. Zaorał ziemię Królestwa. Organizował sercem, gorączką, wiarą, uśmiechami. Do niego samorzutnie przeszły rządy. Promieniał już wtedy ten dyletancki wódz, to szczere, zająkające się z miłości serce, ten duchowy bogacz, który przeciwników zamieniał w podkomendnych.

Wkrótce powstaje koło „milicyjne" we Lwowie, „Związek Walki Czynnej" w Małopolsce, oraz P. O. W. Celem tych ludzi stała się myśl Piłsudskiego o przyszłej regularnej wojnie polskiej o nigdy nieprzedawnione prawo do wolności. Włożył na nich swoje wychudzone, pełne świętości ręce i zaczął oswajać ludzi ze śmiercią, która przewidywała bogate żniwo. Coś przeleciało po sercach, coś się zapaliło w nich odwiecznego. Rozebrzmiał polski bęben. Tradycyjne żołnierskie talenty przemówiły. Szło wojsko polskie! Padała komenda, grzechotały karabiny. Pod gwiazdami, wśród biwakowanego wczasu oparli koło siebie głowy na jednym tornistrze student i robotnik. I mówiły wtedy do nich o czemś kochanem te gwiazdy, coś najpiękniejszego, co mogą do dusz ludzkich powiedzieć — o Wolności!!...

Grobową płytą przywalony Orzeł Biały — pogrzebany...

Szumem pól kołysana Dusza dziecka polskiego wyczekiwała dźwięku „Złotego Rogu"...

I nadszedł czas!...

Wiatrem niesiona wieść: Wojsko Polskie — dążyła do najcichszych zakątków. Istotnie — uzbrojeni w karabiny starego systemu „Werndla" legjoniści — uczniowie, robotnicy, rzemieślnicy, inteligenci, w strzępach mundurów szli na wymarzoną wojenkę, złożyć daninę z krwi. Dziwiły się, kiwając z powątpiewaniem, głowami narody... by po pierwszych bitwach wznieść gromkie, różnojęzyczne okrzyki na cześć tajemniczej i nieznanej Matki „szaleńców", którzy każdy swój krok do Wolności zna-

czyli bohaterstwem i krwią serdeczną.

Pojawił się On — co serca przykuł do siebie, On, którego słowa wieszczów przepowiadały — On, „czterdzieści i cztery“.

Porwał Naród, przykuł serca, prowadził — bił żelazne słupy graniczne. Ten człowiek o żelaznej woli, niezłomności Ducha, gorąco umiłował męczeńską Polskę, umiłował lud, umiłował wszystko co mądre i szlachetne. W ciężkich chwilach świecił przykładem, nie szczędząc zdrowia i nastawiając życie w pierwszych linjach walczących. W ścisłem współżyciu obozowem Wodza i żołnierzy mijały ciężkie potrzeby: Laski, Krzywopłoty, Łowczówek, Konary, Tarłów, Jastków, Wołyń i wreszcie Warszawa — która wyrwała z szeregów najlepszych synów Ojczyzny.

Polska wolna i Niepodległa!...

Te czyny wielkie i prawie cudowne, zakrojone na jakąś tebańską miarę, ozłociły Jego oblicze, rozniosły Jego sławę po całym świecie. Porwało się, co młode. Rozgorzeli starzy. Obiegał duszę jakiś święty, nieopisany uniwersał.

Ozwała się piosenka legjonowa, śpiąca wiek w lamusowych całunach. Stanął do swej wiecznej roboty żołnierz polski. Rytm jego serca, podpowiedziała szabla, dzwoniąca o smukły, młodzieńczy, odwykły od niej bok. A wódz całej walczącej Polski chrzcił ich krótkiem, wyduchowionem słowem, brał komendę nad swoją płomienną Brygadą i prowadził do boju, aby tu złożyć życie — lub Polskę.

Historja polska wyszła naprzeciw niego ze swyych spleśniałych muzeów. Poezja polska schyliła podartą lirę. Życie polskie, uwięzione we własne kłamstwo o śmierci, zapłonęło po 123 latach niewoli, pierwszym rumieńcem. A wierzył w Zmartwychwstanie Polski: — On szlifierz serc i dusz...

On pamięć wieczna...

On sława...

On — Marszałek Józef Piłsudski.

B. Ł., Absolwent S. H.



„O Dziadku Witeziu“.



. . . .

Wśród książek z dziecinnych lat, wśród cennych pamiątek po młodych marzeniach, szarzeje cienka książeczka legjonowa z 1915 roku. Na nikłej karcie tytuł: Józef Piłsudski...

Odradzają się dawne, zrodzone w dzieciństwie, marzenia i Szarym Komendancie, o Dziadku-Witeziu...

Myśl w dal wybiega, goniąc jakieś mary, jakieś wizje z przeszłości, serdeczne, ogromnie drogie...

Srebrzy się we mgle odległości, śniony przez ojców sen, o zbrojnym czynie, o świętej Wolności...

Z portretu patrzą oczy szarego Komendanta, może ścigają odległe wizje lub widzą cienie tych, co byli z nim i odeszli...

Lubię Dziadka.

Lubię za to, że w głuchą Noc Niewoli i Upodlenia potrafił stać się Witeziem Marzenia i Buntu. Potrafił wyciągnąć niewolników z pod obcasów rodzimych materjalistów, z pod nahajki carskiego sołdata, z pod sugestji ugodowej polityki. Wszystkim tym, którzy chowali się w norach niewoli, wszystkim skopanym, zbitym kolbami Moskala, niósł w darze Marzenie — Bunt.

Lubię Go za to, że całe życie znojne szedł wśród ostrych głosów, krytyki rodzimej. Na każdym kroku bodła Go czujna, jak pies, opinja publiczna.

Szedł jednak niezmordowany...

Szedł niezmordowany przez rewizje, areszty, więzienia, szedł niestrudzony wśród partji wygnańców ku oślepiająco białym śniegom Sybiru, Narymu i Akatuja, z ostrem pobrzękiwaniem kajdan,

„Z garścią małą ludzi źle wyposażonych rozpocząłem wojnę. Cały świat stanął wtedy do boju. Nie chciałem pozwolić, aby w czasie, gdy na żywem ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbywać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tem brakowało. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losów, ważących się nad naszemi głowami, na szalach, na które miecze rzucano, zabrakło polskiej szabli"... (5 sierpnia 1915 r.)

krwawiących ręce i nogi, w nieskończonych pochodach z „etapu" na etap, śniąc o wolnym narodzie, o wolnej Polsce.

Do czynu wystąpił, gdy dwudziestomiljonowy naród Polski, spał w swych sypialniach, izbach, poddaszach i norach kamiennym snem niewolników.

Hasła pracy organicznej stały się obsłonkami najbardziej poziomego dorobkiewiczostwa. O innych sposobach walki z uciskiem i zaborcą, jak podkup i przemykanie się, nikt nie śmiał marzyć. Ludzie, zdało się że zapomnieli, o niedawnej, pełnej chwały przeszłości narodu.

Czyn Piłsudskiego zawiera wydanie „Robotnika". Głos „Robotnika" jasno i śmiało rzucający hasło niepodległości, mówiący o konieczności przygotowania się do walki o nią zbrojnie, zabrzmiał jak dzwon spiżowy wśród głuchej, ciemnej nocy. Zwracał się „Robotnik" do duszy narodu, rozumianego nie jako kasta, nie jako cienka warstwa ludzi bogatych i wykształconych, lecz jako ogromny wielomiljonowy naród, związany wspólną mową, historją, kulturą, w którym ogromną większość stanowi lud pracujący.

Dusza narodu, tak długo drzemiąca w bezsile, budzić się poczyna. A ciemnota i niewola, nahajka zaborcy, i interes dorobkiewicza, sprzysięgały się by odrodzoną duszę Narodu, w bezsile utrzymać. „Cały naród cierpi, ale do kogóż mam się zwrócić, jeżeli nie do was chłopi robotnicy, którzy cierpicie najwięcej..." — pisał Piłsudski w „Robotniku".

Tchnienie narodowe przeszło zatęchłe, zmartwiałe formuły partyjne. Przez masy ludowe przeszło marzenie o celu dalekim, godnym walki na śmierć i życie, o wolnej Polsce.

„Trzeba dać ludziom cel, godny ofiar... Chcemy Polski niepodlgłej, abyśmy tam mogli urządzić życie lepsze i sprawiedliwsze dla wszystkich..." — powtarzał Piłsudski.

Cień tajemniczego „Wiktora", zjawiał się niespodziewanie w miejscach najbardziej zagrożonych. Na obszarach Królestwa i Litwy zakładano za jego sprawą kółka z robotników, z inteligencji, przełamywano stare przesądy i formułki.

Analizowano wyrazy „Polska" i „Ojczyzna". Pierwszy stopień rozbudzenia narodowego został dokonany. Drugi stopień sięga przez zbrojne wystąpienia robotnicze, ku organizacjom wojskowym na terenie t. zw. Galicji.

Szedłeś, Komendancie, samotny, wykuwałeś sam proste drogi dla polskiej wolności. Idcja Twoja, to bezcenne legendarne srebrne nici łączące czyn z marzeniami Polskiego Zakonu Wolności.

Kto zmierzy długość drogi, którą w śniegach, po grudach i moczarach wygnania wydeptał pierwszy Marszałek Polski?...

Na ziemi rodzimej, poszedłeś za jękiem człowieka pracy. Ci, o których nie wiedziała Ojczyzna, ci, których trudem pasł się materjalizm, znalezieni zostali przez Ciebie, wezwani i złączeni w obóz bojowników o wolność.

Twoje marzenia młodzieńcze, Marszałku — to niweczyć przemoc człowieka nad człowiekiem, z pod męki ciał wydobyć ducha ludzkiego, osadzić wśród wolnego narodu miłość i prawo do szczęścia.

Przez mękę, wysiłek, trud, wykułeś dla narodu największe szczęście — Wolność, — dałeś Polsce najważniejszą podstawę do spełnienia Swych marzeń młodości.

. . . .

Z portretu... ze ściany polskiej izby, patrzą szare oczy, z pod krzaczastych brwi, ...marzą o polskiej wszechmocy...

J. Nowakowski, G.P.H.S.



NASZ ZEW.



Żyjemy w epoce oczekiwania czegoś, jakiejś potężnej myśli, która wcześniej czy później musi wytrysnąć z rumowisk Europy, niczem ognista rakieta. Czekamy na coś wzniosłego, co zmieni, wyrówna i spoi stosunki ogólno-światowe; żyjemy bowiem w dziwnym chaosie i rozprężeniu, żyjemy w dobie dążeń kosmopolitycznych i imperjalistycznych, które z zastraszającą krótkowzrocznością patrzą w przyszłość; jesteśmy świadkami zaniku sprawiedliwości, wszędzie widzimy dysonanse, konflikty i kolizje.

...A tam na zachodzie wre gorączkowa, namiętna praca nad uświadomieniem, i wpajaniem w każdą komórkę mózgową twierdzeń, że ‚korytarz“ — to ziemia rdzennie niemiecka, to miecz, który rozcina obszar Rzeszy, to pomyłka i przeoczenie twórców traktatu wersalskiego. Demokraci, narodowi socjaliści, komuniści — wszyscy, gdy chodzi o „zrabowane i wydarte“ ziemie Pomorza i Śląska godzą się na jedno, że kryzys, bezrobocie itp., jest wynikiem planowych posunięć, które mają na celu osłabienie Niemiec. Na cały świat ślą agentów, którzy płaczą nad „niemocą“ swej ojczyzny, biadają nad niesprawiedliwością i niegodziwością Polaków, przedstawiają Polskę jako „Pole-land“ — kraj biegunowy, pozbawiony kultury i cywilizacji.

I nasuwa się pytanie, jakie stanowisko mają zająć ci, którzy idą dopiero na bój z życiem? Co my mamy robić, jak zareagować, i jaką dać odpowiedź?! Czy mamy pozwolić na to, aby jacyś panowie, wygłaszali bzdury, i prawili niedorzeczności o „niemieckiej ludności na Kaszubach i Pomorzu, by znieważali święte dla nas imię Polski??

Nie!! po stokroć nie!

Trzeba położyć kres tym propagandowym „wycieczkom“ o sile militarnej Polski, lub odpłacając pięknem za nadobne zadrzeć maskę obłudy z „rozbrojonych“ Niemiec, pokazać światu owe pseudo-sportowe organizacje, wykazać prawdziwy budżet, z pozycjami przeznaczonemi na budowę krążowników, samolotów, i fabryk gazów bojowych.

...Lecz my młodzi, cóż możemy zrobić? — zapyta ktoś.

Odpowiem: Naszem dążeniem — moc nasza. A zrealizowanie tego należy tylko do młodego pokolenia, do nas, którzy stworzyć MUSIMY takie Legjony, któreby czynem i pracą, skonsolidowanym wysiłkiem i energją budowały MŁODĄ POLSKĘ. Dla tych, którzy podstępnie dążą do naszego osłabienia, jedyną tylko mieć odpowiedź: Zwyciężymy lub... zginiemy. Tertium non datur.

I dzisiaj, w przededniu wielkich uroczystości państwowych, z okazji Imienin Wodza Narodu, Naczelnika Pierwszej Brygady, niechaj ze wszystkich młodych polskich piersi od Bałtyku po Karpaty rozbrzmi nasz zew:

FRONTEM DO ZACHODU!!

i niech będzie hołdem dla Niego, dla przelanej krwi Legjonów, od młodych i karnych żołnierzy, od młodzi, która idzie by zwyciężać! **Kazimierz Duszyński, G.P.R.T.**

I PÓJDZIEM W ŚWIAT...

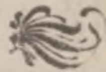
Zbliża się chwila, która rozdzieli nas,
I z murów szkolnych wyjdziem w świat.
I pójdziem w świat na życia bój.
A choć w rozłące będziem żyć,
Napewno jednak będziem śnić
O chwilach tych, co przeszły już...

A więc nie lękaj się tych snów,
Gdyż Ci umilą życia dni.
Na świecie tym, tak pełnym złud.
Ze światem walcz, nie słowem,
Lecz czynem walcz, przykładem świeć,
A wówczas Ty zwyciężysz świat.

Nazaret.



W POGONI ZA SŁOŃCEM.



(ciąg dalszy).

Portjerzy hotelowi, z początkiem sezonu jeszcze skromni i dość potulni, obecnie, gdy ze wszystkich stron świata ciągną tłumy gości, puszą się jak pawie i wzrokiem inkwizytorskim oceniają „wartość“ klijenta. Gdy podjeżdża Royls-Royls lub Hispano-Suiza — apartament znajduje się w mgnieniu oka, błyszcząca galonami banda lokai rzuca się na walizki, oczekuje wyfraczony maitze, który w roli uprzejmego gospodarza wita i wprowadza uroczyście gości. Podróżny zaś wysiadający ze skromnego, wymęczonego samochodu, czy ze zwykłej taksówki spotyka się z oziębłem — „żałujemy bardzo, wszystko zajęte“. Jego portjerska mość wie tylko, że sezon się udał, ruch niebywały „moda na słońce“ opanowała wszystkich. Gdy się wyjdzie na deptak, ma się wrażenie, że kryzys jest dziennikarską kaczką. Anglicy — choć funt chwieje się w swych podstafach, Amerykanie— choć niezachwiany dolar traci dotychczasowe zaufanie — wesoło bełkoczą, jak zwykle niezrozumiałe i spijają najlepsze wina. A ten gruby pan z równie grubem cygarem, to Niemiec i ten się tu znalazł, mimo, że jego marki nikt już nie chce przyjmować. Czesi rozmawiają, jak zawsze i wszędzie, niezbyt kulturalnie. Tu znów dwóch panów kłóci się zawzięcie — nie, to tylko Węgrzy rozmawiają w swoim języku. Rodowici Jugosłowianie gubią się w tłumie Czechów, Węgrów, Niemców, Rosjan emigrantów. Ciekawa rzecz jest z temi Rosjanami. Rozmamiając z jakimkolwiek szoferem, kelnerem, czy jakimś portjerem hotelowym — emigrantem Rosjaninem, ma się wrażenie, słuchając ich curiculum vitae, że tutaj znaleźli schronienie sami dygnitarze i arystokraci. Co drugi z nich, to eks-jenerał, eks-książę, lub były radca dworski, a dynastja Romanowych rozmnożyła się w nieskończoność.

Rankiem niecierpliwie szarpnięta okiennica odskakuje i do pokoju wpada powódź słońca i głębokie tchnienie morza. W otwarte okno zagląda niebieska dal powietrza, a widok w dole wywołuje okrzyk zdumienia i zachwytu. Niski od strony wjazdu hotel „Esplanade“ okazuje się dwupiętrowym budynkiem, wspartym mocno w pochyłość zbocza. Opasany werandami i tarasami, kryje się w ogrodach pełnych palm, agaw, kaktusów. W dole rozpościera się biała plaża lekko zgięta w łuk małej zatoczki. Niebo niezmącone, błękitne, różni się zaledwie delikatnym odcieniem od nasyconego szafru morza, wiecznie śpiącego, rozmarzonego. Lśni ono w słońcu jak rozsypane brylanty i wzdycha lekko, a miarowym poszumem. A z drugiej strony sterczą góry ogromne, nagie, ciemno - szare, tak, że zdają się przyćmiewać pogodne niebo. Świadczą one o wulkanicznym pochodzeniu tej krainy, o straszliwych siłach, które tu szalały przed tysiącami lat, nim ją dźwignęły z dna morskiego. A jednocześnie z ziemi tej bije zapamiętała szczęśliwość. Błękitny dzień stoi nad nim, jak zapowiedź wiecznego przymierza ze słońcem, które przekreśla wszelkie prawa i nakazy zimy. Tajemniczem powinowactwem z głębi ziemi wyrasta odpowiednia flora: szaro-zielona agawa, mięsisty kaktus lub smukła palma.

Napływ cudzoziemczyzny, przyodzianej w obowiązkowe sportowe ubrania, rogowe okulary, zaopatrzonej w wielkie Zeiss'y i Kodaki, zeuropeizowały doszczętnie dawne osiedle rybackie i uczyniły z niego pierwszorzędną miejscowość, równie modną jak Lido czy Rimini. Sinobrody stafzec — rybak, odziany w miejscowy strój ludowy, wygląda jak manekin z etnograficznej gabloty. Łapią go wszystkie objektywy, malują go i podziwiają chude „miss‘ i ociężałe nieco „fräulein“.

Około południa Cvikwenica gwałtownie się wyludnia. Szybko pustoszeje, ulice, plaże, nigdzie żywego ducha. Zdziwieni pytamy się sami siebie, co to ma znaczyć — miasto spoczywa cicho wśród murów i gajów, rozpalone potokami południowego słońca, ukołysane szumem palm i jakoś dziwnie roztęskniome i rozmarzone w błękicie cichego, śpiącego bez najlżejszej fali Adrjatyku. Wędrówka przez takie pół-wymarłe miasto robi niesamowite wrażenie. Znajdujemy wreszcie jakiegoś przygodnego informatora i pytamy go o powód tego zjawiska — „białe godziny — panie — południe; u nas już tak we zwyczaju, w południe wszystko zamiera“ — informuje nas zapytany w języku rosyjskim. Lecz my sami odczuwamy to na własnej skórze. Głowa zaczyna dziwnie ciążyć, oczy oślepia blask bijący od rozpalonych murów i niemniej rozpalonego morza. Dopiero koło godz. 3-ej fala strasznego upału mija. Wyludniają się hotele i pensjonaty i wesoły tłumik śpieszy na plaże. Cała przestrzeń długości kilkuset metrów wypełniają bronzowe ciała, beztrosko wylegujące się na złotym piasku, w promieniach życiodajnego słońca. Awśród tych ciał uwija się maitre nauki pływania, sprzedawca smacznych południowych przysmaków, lub też tak pożądanych na wielki upał — lodów. A przytem morza, cudnie prześwietlone słońcem, zawsze spokojne, bez najmniejszych akcentów buntu. Czasem tylko, gdy gorący „sorocco“ zakłóci gładką powierzchnię, drobniutkie fale zapienią się śnieżnym puchem i przybiegają do brzegu urozmaicone koronkami piany.

Płytkie dno sięga daleko w morze i wyklucza możliwość wszelkich niespodzianek w postaci ostrych kamieni czy niebezpiecznych zagłębień. Temperatura wody dochodzi do 29°, to też zarówno dzieci jak i starsi chętnie przebywają w wodzie całemi godzinami.

„Ale trzeba było, aby to, co było szaleństwem, stało się także i rozumem polskim... (Przemówienie R. 1915).

Czy można więcej wymagać od morza? Czy my, Polacy, z nad zimnego Bałtyku, możemy nie być porwani czarem Adrjatyku? Do tego trzeba dodać sympatję i uprzejmość, jaką nam tu objawiają na każdym kroku i to szczerze, serdecznie, bez akcentów fałszywej kurtuazji.

Wieczorem Cvikwenica zamienia się w rozegrane miasto. Gra orkiestra wojskowa w parku, dudnią po dancingach wrzaskliwą melodją jazzbandy i gdzieś z dali dochodzą nas tkliwe i jękliwe dźwięki bałałajki czy fletu. Gdy budzę się w nocy, słyszę jeszcze zawodzenie jakiejś melodji, ale w przerwach wdziera się szum przemożny rytmiczny, uspakajający. To szumi Adjatyk.

Stefan Kulesza VIII kl. G. P. H. S.



O SZOPENIE.

(wypowiedziane na wieczornicy szopenowskiej).



Fryderyk Franciszek Chopin przyszedł na świat w Żelazowej Woli koło Warszawy, dnia 22 lutego 1810 roku. Ojcem jego był Francuz Mikołaj Chopin, guwerner syna dziedziczki Żelazowej Woli, hrabiny Skarbkowej; matką szlachcianka polska, Justyna z Krzyżanowskich.

Przyszedł na świat Chopin i zanucił pieśń. A takiej cudnej pieśni ucho ludzkie jeszcze nie słyszało, to też wkrótce, rozeszła się po szerokim świecie i wreszcie zjednała sobie i nam, prawo obywatelstwa w państwie muzyki, którego dotąd nie posiadaliśmy.

Fryderyk był dzieckiem bardzo wątłem i wrażliwem. Wrażliwość jego była tak wielka, że naprzykład nie mógł słuchać muzyki bez płaczu. Rodzice, widząc tak wielkie jego zamiłowanie do muzyki, postanowili go kształcić w tej sztuce. Pierwszym i jedynym nauczycielem Chopina, był Adalbert Żywny, Czech rodem. Komponować zaczął Chopin tak wcześnie, że nie mógł nawet jeszcze tego napisać, co stworzył.

Już jako dziecko siedmioletnie, był znany w szerokich kołach towarzystwa warszawskiego, jednając sobie sympatję i uznanie tak wielkie, że żaden z wielkich kompozytorów prócz Mozarta, poszczycić się tem nie może.

W ósmym roku życia ukazała się w druku jego pierwsza kompozycja, a w pismach pierwsza wzmianka publiczna.

Scena działalności artystycznej Bacha, Mozarta, Bethovena, obejmuje niemal wszystkie rodzaje muzyki, Chopin ogranicza się jedynie do muzyki fortepianowej. Jeżeli jednak pod tym względem nie stoi na równi z nimi, to nie możemy powiedzieć, aby stał niżej. Przedewszystkiem jest od nich bardziej oryginalny. W jego utworach nie spotkamy nic powtarzającego się, nic powszechnego. Z każdą kompozycją Chopina, wchodzimy w jakiś świat piękny, zaczarowany, niby trafiło się na drogę, którą nikt prócz niego nie stąpał.

Epoka, a zarazem styl, który stworzył Chopin, jest wprost niemożliwy do naśladowania. Mendelssohn wyraził się o preludjach szopenowskich: „zachwycam się, bo jest to coś, czegobym nigdy nie stworzył. Z obcych kompozytorów, pierwszy Szuman odczuł muzykę Chopina, mówiąc w swych pismach o muzyce: „Co sprawia, że Chopin tak zajmuje ,tak do siebie ciągnie, więcej niż inni kompozytorowie czasów naszych? Sprawia to silna, wybitna narodowość, która go ożywia, mianowicie polska narodowość. A że ona chodzi teraz w czarnej, żałobnej szacie, więc tem więcej do siebie pociąga, tem większe wywiera wrażenie przez muzykę głębokiego mistrza. I gdyby potężny samowładca północy wiedział, jaki niebezpieczny nieprzyjaciel grozi mu z muzyki Chopina, z prostych jego mazurków, zakazałby muzyki, bo dzieło Chopina, to ukryte pod kwiatami armaty“.

Poznał się również Liszt, który usłyszawszy marsza żałobnego z sonaty B-mol, wykrzyknął, „To tylko Polak mógł napisać!“

Bo rzeczywiście, wszystko, co tylko mógł mieć naród, kroczący za swym własnym pogrzebem uroczystym, wszystko to możemy usłyszeć w żałobnych tonach marsza szopenowskiego. Chopin pierwszy odkrył sposób wyrażania uczuć, on także pierwszy nadał etjudom nietylko pedagogiczne, lecz i artystyczne znaczenie. Wprowadził do literatury muzycznej mazurki, owe najbardziej charakterystyczne swoje utwory. Stanowią one jego wyłączną własność, gdyż zachowując rytmikę, właściwą tego rodzaju pieśniom ludu wiejskiego, rozprzestrzenił formę, melodję uszlachetnił i nadał cechy poematów, może rozmiarami drobnych, lecz potężnych treścią. Polonezy Chopina przedstawiają nam świat rycerstwa i w niektórych jak As-dur, zda się, że słyszymy szelest wyrzucanych w górę wylotów kontuszy, szczęk karabeli i tętent galopujących koni, w innych zaś rozpacz, po stracie ukochanej ojczyzny... Także własność Chopina stanowią nocturny, do których on właśnie, wprowadził uczuciowość i pierwiastek dramatyczny. Preludja, których treścią są przeważnie smutek, tęsknota i przygnębienie, stanowią koronę twórczości Chopina. W walcach przedstawia nam autor życie salonu. Cała wytworność i elegancja Chopina przebija się w nich i zda się pociąga każdego, kto umie ich słuchać.

Wielki wpływ na twórczość Chopina miała nieszczęśliwa miłość do Marji Wodzińskiej, której nie mógł poślubić, będąc zagrożonym na suchoty. Boleść i żal z powodu utraty ukochanej, przebija się w wielu kompozycjach Chopina.

Po roku 1831, wypadki w kraju, zmusiły Chopina do wyjazdu zagranicę. W Paryżu, swą tęsknotę za ojczyzną, przelewał w dźwięki. Chopin względnie mało po sobie zostawił kompozycji, a główną tego przyczyną była nieuleczalna choroba, suchoty, która go ustawicznie od pracy twórczej odciągała. Ona go też o przedwczesną śmierć przyprawiła, gdyż Chopin, licząc zaledwie 39 lat zmarł w Paryżu w roku 1849.

Prochy jego, niestety, spoczywają jeszcze na obczyźnie, lecz miejmy nadzieję, że wkrótce powitamy je na ziemi, którą tak bardzo ukochał nasz wielki kompozytor.

Zofja Dębska, „Nauka i Praca“.



SZTYFT.



Był wysokim, pięknym mężczyzną. Szatyn o nosie orlim i stalowo-szarych oczach, których błysk przejmował nas, trzecioklasistów, dreszczem trwogi, stanowił dla wszystkich zagadkę. Nosił zawsze stare, wytarte ubranie, ten sam pomięty kapelusz i swą nieodstępną walizeczkę, dyndającą mu u prawego boku. Wypukłe, wysokie czoło, wychylające się z pod sterczącego „jeża“, znamionowało mądrość i niepospolitość postaci. Mieszkał za miastem i codzień po skończeniu zajęć można go było widzieć, podążającego spiesznym krokiem na stację. Zamiejscowi koledzy poinformowali nas, że posiada własny kawałek ziemi, który uprawia i pielęgnuje z zamiłowaniem. Ciekawi wyszukali kiedyś „Sztyfta“, człowieka „napełnionego wzorami matematycznemi i fizycznemi, logarytmami, sinusami i t. d. i t. d.“, jak w blasku zachodzącego słońca stał, oparty na łopacie, ogarniając nie spotykanym u niego wzrokiem miłości Matkę-Ziemię.

Drżeliśmy przed nim wszyscy bez wyjątku. Wystarczało tylko usłyszeć jego głos, aby zabawa zamierała i abyśmy tracili humor. Ulubione słowa tego profesora: „Gałganie jeden!“ stały się przysłowione i wszędzie używane. „Sztyft“ uczył nas fizyki (pochodzenia tego przezwiska nie mogliśmy dociec,

„W ciężkich chwilach więziennych widziałem Polskę, pognębioną, zduszoną na wiele lat. Śnił mi się obraz siły, czynu zbrojnego. Projekt wydawał mi się samemu nad siły, jednak zacząć musiałem, bom Ją w sobie nosił, wolną i w pełni chwały żyjącą. (1915 r.)

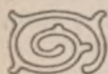
gdyż ciągnęło się ono w nieskończoność). Przechadzał się zwykle między ławkami, pobrzękując kluczykami, których było bardzo dużo, a my rozwiązywaliśmy różne zagadnienia, lub czyniliśmy doświadczenia. Probówka, zwykła probówka stanowiła dla nas największy skarb, którego stłuczenie powodowało burzę. Dodać jeszcze muszę, że „Sztyft" z odznaczeniem ukończył uniwersytet, wprowadzając wykonaniem zadania (zrobił je jeden tylko na kilkudziesięciu) w zdumienie autora fizyki szkolnej p. Kalinowskiego.

Pewnego razu stałem się świadkiem czegoś takiego, co zmusiło mnie zmienić zdanie o wyżej scharakteryzowanym profesorze. Uczeń naszej klasy został przypadkowo czy też naumyślnie zraniony w głowę kamieniem podczas pauzy na dziedzińcu szkolnym. Uczyniła się straszna awantura, rodzice udali się ze skargą do dyrekcji i „Sztyftowi" jako wychowawcy kazano znaleźć winowajcę. Podejrzenie padło na ofiarę szkoły, obijaną na wszystkich pauzach, pierwszoklasistę, odznaczającego się ówczas wojowniczem usposobieniem. Koledzy byli oburzeni na „smarkacza" i udzielili swego nastroju fizykowi, który po ukończeniu śledztwa w klasie, miał zamiar zwrócić się do p. dyrektora z prośbą o wydalenie winnego. Przypadkiem znalazłem się na korytarzu w chwili, gdy on klasę opuszczał, a słysząc groźny głos, ukryłem się we wnęce drzwi. Za profesorem wysunęła drobna postać kol. X., dogoniła go i z płaczem wyznała, że młodszy kolega został niesłusznie posądzony, bowiem on sam nieuważnie popełnił ten czyn. (Kol. X. był znany ze swej grzeczności, posłuszeństwa i solidności). „Sztyft" stał przez chwilę w miejscu, jakby oszołomiony nagłą wiadomością, oczy jego straciły swój złowrogi wyraz, ustępując miejsca, nigdy u tego człowieka przeze mnie niewidzianemu, spojrzeniu ojcowskiemu, pochylił się, wziął malca w ramiona i złożył na jego czole serdeczny pocałunek. Potem bez słowa poszedł w ciemną dal korytarza, a odgłosy jego kroków stawały się coraz cichsze, coraz słabsze...

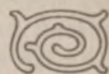
N. Grinbaum, G.P.H.S.



Pierwszy pociąg na nowej linji Herby—Gdynia.



Wspomnienia z kuligu.



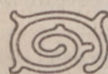
Klasa nasza, od dłuższego czasu nosząca ładnie brzmiącą nazwę klasy „sportowej“, w tym roku postawiła się i urządziła kulig. Wszystkie starania i zabiegi trwały jakoś wyjątkowo krótko. Władze wyższe zgodziły się łatwo, sanki się znalazły i koniec końcem pewnej soboty wyruszyłyśmy. Długi sznur sanek, przyczepionych do sań dużych, zaprzężonych w parę koni, roześmiane twarze dziewczynek, zaróżowione od mrozu i błyszczące zadowoleniem oczy, tworzyć musiały bardzo miły dla oka obrazek, bo dużo ludzi przystawało za nami i patrzało do tego czasu, aż zniknęłyśmy na zakręcie ulicy. Usposobienie nasze, jak już zaznaczyłam bardzo dobre, poprawiła także zła przepowiednia jakichś kumoszek na Nowym Rynku, przepowiednia tragiczna, która jednak stała się bodźcem do wybuchu szalonej wesołości. Kobiety te mówiły, kiwając ze smutkiem głowami: „Na śmierć wiozą biedne dzieci, na chorobę, na zatracenie!“ Gdyby nie brak czasu, chętnie wytłumaczyłybyśmy im, że nikt nas nie ciągnie na kulig, przeciwnie tylko dzięki sprzyjającym okolicznościom i niezwykłemu genjunszowi organizacyjnemu naszego samorządu klasowego (słowy temi składam im i wyrażam moje najwyższe uznanie) cała ta impreza wogóle doszła do skutku. Jednak proszę o wybaczenie, całkiem niechcący odbiegłam od tematu. Więc jedziemy. Gładko i bez żadnych przygód, wyjąwszy częste gremjalne wywalania do przydrożnych rowów, dotarłyśmy do miejsca przeznaczenia t. z. do Olsztyna.

Wszystkie byłyśmy trochę przemarznięte, szczególnie szczęśliwe posiadaczki „przyczepek“ wystawionych na wiatr i śnieg, więc z prawdziwym zadowoleniem wpadłyśmy do gościnnych progów mieszkania pp. S. A było ono ciepłe i wesołe. Patefon, fortepjan, herbata gorąca, pączki i inne t. p. smaczne i pożyteczne rzeczy stanowiły pewną bardzo miłą atrakcję. To też po długiej uczcie, której nie zawstydziłby się sam Lukullus i po odtańczeniu wszystkich krajowych i zagranicznych tang, foxtrottów, walców i t. d., zastanowiłyśmy się przez chwilę nad naszem dalszem postępowaniem. Pod przewodnictwem p. G., która dzieliła z nami i trudy drogi i zabawę odpoczynku, udałyśmy się z sankami na zdobycie Zamkowej góry. Po stromych zboczach obsypanych puszystym, głębokim śniegiem, w niektórych miejscach zapadając po kolana, w niektórych pogmagając sobie rękoma (pospolicie mówiąc, łażąc na czworakach), przyszłyśmy wreszcie do miejsca skąd można było wspaniale zjeżdżać. Wszyscy czytelnicy, bo przecież chyba wszyscy zjeżdżali kiedykolwiek z góry na sankach, wiedzą co to za rozkosz i potrafią odczuć nasz stan duchowy ,gdy leciałyśmy na łeb na szyję w dół, albo gdy wywaliwszy się z sanek, znajdowałyśmy się raptem na śniegu. Żal nam było bardzo wracać i długo nie chciałyśmy wierzyć, że to już czas. Droga powrotna do Częstochowy nie odbyła się też naturalnie bez pewnych incydentów. Podziwiałam naprawdę stoicką cierpliwość naszego woźnicy, który musiał co pięć kroków wstrzymywać konie, na skutek rozpaczliwych wołań, które nagle odzywały się za nim. Były to krzyki tych, które wywalały się na zakrętach i obmacując ostrożnie żebra, liczyły lekkie potłuczenia i szukały guzów. Mimo to śmiech i dowcipy nie milkły ani na chwilę i życie nawet na sekundę nie traciło swego uroku. W saniach dużych było gwarno i wesoło, jak w klasie na pauzie, albo podczas jakiej swobodnej lekcji. Z powodu braku miejsca siedziało się na ramionach, plecach i kolanach sąsiadek i z tej przyczyny wynikały pewne krótkotrwałe sprzeczki. Dostawało się szczególnie Halinie, która widocznie wspominając patefon i najnowsze tanga, kręciła się jak na

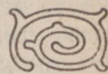
szpilkach.

„Hala, nie kop, bo dostaniesz! Hala, co za demoralizacja, przestań, bo to się źle skończy!" — tak i sypało się pod jej adresem. Często, gęsto, któraś ze smutkiem zwierzała się, że zgubiła prawą nogę, albo skarżyła się na ślubne odciski. Gdy dobroczynna Dziutka (wrodzony filantrop) zaproponowała wytrzeć nos każdej sąsiedce, zostało to przyjęte ogólną aprobatą. Żadnej bowiem nie chciało się szukać chustki i wyciągać ręce z pod ciepłego koca. Żeby się zrewanżować zarzuciłyśmy ją komplementami w rodzaju tego: „Dziuteczko, jak ślicznie wyglądasz!" (twarz miała całą zasłoniętą od wiatru szalem), na których ona się nie poznawała i podejrzewając o złośliwość, udawała obrażoną. Pod miastem już, żeby zrobić furorę, zaczęłyśmy śpiewać, po części dla pokazania ludziom, że jeszcze żyjemy, a po części dla rozgrzewki. Bo też wiatr był wówczas naprawdę spory i mróz też nie najgorszy.

Teraz, kiedy minęły już czasy śniegów i mrozu, czasy wesołych i pełnych humoru kuligów, z szczególną przyjemnością wspominam tą wycieczkę, krótką — ale tak różną od innych już urządzanych, na której bawiłyśmy się naprawdę wesoło i co najważniejsze — wszystkie.



Ja, jo jo i bezczelność.



Kiedy wszyscy mieli prawo zwarjować, mogli oszaleć i poddać się owczemu pędowi jojowania, dlaczego nie miałem tego i ja uczynić. Przecież ja także jestem zwyczajny człowiek, jak inni, mam tak samo nos, oczy, ręce i nogi aż do samej ziemi, jak to świetnie określił jeden profesor, więc dlaczego ja nie miałem również zwarjować. Widzę przecież, jakie olbrzymie z jojowania wynikają korzyści, bo jak się zrobi tysiąc pociągnięć, to poddają bezpłatnie człowieka badaniu psychjatrów, a jak więcej, to już napewno dadzą bezpłatny bilet pierwszej klasy do... Tworek. Mając to na względzie, a także będąc przezornym człowiekiem, który ubezpiecza się przed „ewentualnym wypadkiem", kupiłem sobie dwa krążki ze sznureczkiem i zaraz w alei zacząłem jojować. Jo-jo chodziło naprawdę tak, jak w mieście Łodzi i kosztowao wyjątkowo tanio, bo pół złotego, gdzieindziej zaś sprzedawcy są tak bezczelni i biorą po pięćdziesiąt groszy. No, ale mnie to już tam oni nie naciągną.

Zebrał się koło mnie na ulicy wielki tłum, wszyscy powyciągali swoje joja i poczęli je puszczać. A choć się nikt jeszcze nie znał, zaprojektowano konkurs i poczęto go natychmiast wykonywać. Ja, nie mogąc dociągnąć do setki, poszedłem do domu. Idę przez park, patrzę, a tu jakaś panienka puszcza sobie ładne zakopiańskie jo-jo. Ja do niej „prosto z mostu" powiadam, żeby się ze mną zamieniła, a ona była na tyle źle wychowana, że mnie uczciwemu człowiekomi, przyszłej chlubie narodu, powiedziała, iż jestem bezczelny. Ciekawym do czego taki brak inteligencji i niezrozumienia niezrównanej dobroci mego tandetnego joja może świat doprowadzić. Chyba przecież nie do upadku?

Na drugi dzień przyniosłem moje jo-jo do klasy i nic innego nie robiłem, tylko je puszczałem. Pyta mnie się profesor, co Napoleon uważał za główny powód swych zwycięstw, ja nic zupełnie nie uważałem, więc kolega podpowiada mi: szybkie maszerowanie, a że ja nie dosłyszałem, więc powiadam głośno i odważnie: „Szybkie jojowanie, panie profesorze". Profesor na to nic, tylko powiada z największą flegmą: „Jesteś bezczelny". I odtąd na dobre, obok jojowania, zaczęła się moja bezczelność. Choć byłem zupełnie niewinny, to jednak wytykał mi ją każdy, kolega, czy też profesor, dyrektor, a nawet sam wizytator. Ale czy ja byłem co winien, że zyskałem dla naszej klasy kilka gąbek do tablicy.

Z temi gąbkami to tak było: Zginęła

„Być zwyciężonym i nie ulec — to zwycięstwo; zwyciężyć i spocząć na laurach — to klęska. (1918 r.)

nam nasza rodzona klasowa, ja wtenczas byłem dyżurnym od tablicy, pióra, modlitwy i podawania do pieca na wszystkie rozgłośnie wiadomości o dobrem zachowaniu się klasy na lekcjach, więc żal mi było dziesięciu złotych. Gąbka taka coprawda warta jest najwyżej złotówkę, ale że to była państwowa, to musiałbym zapłacić podwójnie, a do tego ze trzy złote na marki stemplowe i pięć złotych podatku, a nadto z pięćdziesiąt groszy na bezrobotnych. Idę ja więc wtedy do paru pracowni: geograficznej, fizycznej, chemicznej, i powiadam opiekunowi tej pracowni, że gąbka w tej sali to jest z naszej klasy, że pan profesor kazał ją z klasy przynieść, że ja poznam, bo ma specjalne znaki i t. d. i t. d.

I w ten sposób uzyskałem pięć gąbek uczciwą drogą, bo jestem za solidny na to, żeby brać wszystko, jak inni, na lewo. Wychowawca się na moich intencjach nie poznał, zwymyślał mnie, powiedział mi, że jestem bezczelny (pewno z przyzwyczajenia!) i kazał mi gąbki oddać, ale klasa nie pozwoliła mi tego czynić, bo mogą się jeszcze przydać na zapas, jakby znów kiedy jaka gąbka zginęła.

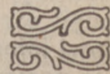
No i proszę sobie wyobrazić, że za moje trudy i starania, za solidne spełnianie obowiązków dyżurnego, czego dowodem jest trzydzieści sześć moich zapisów w dzienniku, powiedziano mi, że jestem bez czelny.

Zaiste, niemasz sprawiedliwości na tym świecie.

M. Jędrkiewicz, G.P.H.S.



Jak zwiedzałem gród Tuwima.



Słyszałem, że podobno otoczenie ma ogromny wpływ na jednostkę, co rzeczywiście sprawdziłem w czasie ostatnich feryj Bożego Narodzenia na własnej skórze.

Znajduję się bowiem, proszę sobie wyobrazić, nie gdzie indziej ,tylko w otoczeniu znanych i to bardzo wybitnych turystów. Jeden z nich, naprzykład, wie lepiej od rodowitego Eskimosa, że w Polsce jest Częstochowa, drugi zaś widział prawdziwą małpę, kiedy „studjował zoologję we własnem lusterku". Zaś wspominania o ukąszeniu naszego „piewcy Polesia" przez prawdziwego pińskiego komara jest, jak sądzę, zupełnie zbyteczne.

Znalazłszy się więc w takiem otoczeniu, zapragnąłem również stać się turystą. Zacząłem mą zbożną działalność od zwiedzania przesławnego grodu: Łodzi, która jest rodzimem miastem Tuwima, Eugenjusza Bodo i wreszcie mojem. Podobno w tej Łodzi ma się znajdować bardzo dużo fabryk, ale ja w to wcale nie wierzę, bo przeszedłszy całą ulicę Piotrkowską, ani jednej nie widziałem, co zaś do łódzkiego przemysłu, to też pewno bujda straszliwa. Sam przecież kupiłem tam wyroby częstochowskiego przemysłu „za jedne dziesięć groszy". Był to drukowany w jakiejś częstochowskiej drukarni zbiór „najnowszych, kabaretowych piosenek", kończący się strasznym akordem, pieśnią o Żwirce i Wigurze, na nutę... „Wołga, Wołga". Proszę sobie uzmysłowić, jakie to tragiczne, śmierć Żwirki i Wigury aż tyle warta, co największa rzeka Europy, Wołga. Do tej pory jeszcze pamiętam pierwsze słowa tej pieśni i wciąż je z zachwytem i upojeniem powtarzam:

Żwirko,, Żwirko i Wigura,
Polecieli aż do Czech,
Wtem się wielka zbliża chmura
I straszny popełnia grzech.
Oj ty chmuro, czarna chmuro... itd.

Jakie to straszne, a zarazem piękne.

Jako wybitny mecenas sportu i kina, zwiedzałem tylko to, co tych „pierw-

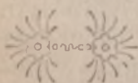
szych i ostatnich dotyczy“. I doszedłem do przekonania, że niema jak nasze częstochowskie kina. Tutaj za jedne trzydzieści groszy idzie człowiek na seans, trwający ni mniej ni więcej tylko całe cztery godziny i pięć minut, a zresztą można siedzieć i dłużej ,bo jak się odda przy wejściu bilet, to już więcej nie sprawdzają i sprawa skończona. A tam, pożal się Boże, straszne rzeczy się dzieją. Tam, jak się pójdzie do kasy, to najprzód przemiła kasjereczka, z pięknemi jak perełki ząbkami (z powodu rzadkości) zaświszcze sakramentalne słowa: „Które miejsce?“ ,a potem zacznie wyliczać arcydługą litanję: „bilet 51 groszy, podatek miejski do tego 30 groszy, 10 groszy na bezrobotnych i 5 groszy na Czerwony Krzyż“. Odetchnąłem z ulgą, myślałem, że już koniec ,ale gdzietam. Owa matrona (nie wiem już, jak się takie osóbki tytułuje) raczyła zobaczyć moją państwową czapkę i mówi: „Pan nie z naszego miasta, panu zniżka nie przysługuje, pan zapłaci cały bilet“. Zapłaciłem więc łącznie coś z pięć złotych i nazywało się, że poszedłem na tak zwany poranek. Bilety naturalnie sprawdzali dopiero na sali i mnie zaraz po skończeniu seansu wypędzili. Straszne rzeczy, słów mi brakuje na ich wspomnienie.

Sport łódzki zrobił na mnie jednak o wiele bardziej dodatnie wrażenie. Byłem na kilku meczach hokejowych i widziałem prawdziwą drużynę „Geyera“ (u nas w Częstochowie ludzie mówią, że Geyer to łódzki fabrykant ,ale ja im zadaję fałsz i „zabijam piórem w trumnie“, jak powiedział wieszcz). Byłem także na meczu bokserskim „Łódź — Brno“, nie byłem jednak na nim do końca, ponieważ usunięto mnie ze świątyni sportu z podbitym nosem i okiem, za to, że krzyczałem Czechom: „na zdar“. Nie wiem, czy w tem była jaka obelga?

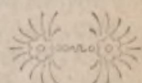
Wkońcu muszę zaznaczyć, że z wycieczki tej odniosłem wiele korzyści, jak zwiedzenie boiska „Ł. K. S‘u.“ i prawdziwego łódzkiego kina, jazda tam i z powrotem prawdziwym pociągiem, no i stwierdzenie, że nieprawdą są słowa podręcznika do geografji, jakoby w Łodzi było pełno dymu. Ja go tam wcale nie widziałem i nie wierzę, aby on tam kiedykolwiek istniał, chociaż ludzie mówili, że fabryki stoją, to jest kryzys i dlatego go niema. Mnie się zaś zdaje, że się oni tylko chwalili. Słowem Łódź jest stanowczo przereklamowana, nasza Częstochowa jest od niej kilkakrotnie większa i bardziej podobna do miasta naprawdę europejskiego.

Kończąc chciałbym wyrazić życzenie, aby czynniki niesamorządowe wsadziły nareszcie swój nos w sprawę przesadnej reklamy i nie pozwoliły tak łgać byle komu.

M. Jędrkiewicz, G.P.H.S.



KĄCIK DLA NAJMŁODSZYCH.



O jakże chciałbym żyć dwieście lat.

O! jakże chciałbym żyć 200 lat. Żyć, a przez życie widzieć własnemi oczyma przejawy życiowe, wyczyny i wynalazki w dziedzinie techniki, przemysłu i w masie innych dziedzin, które czy to już są, czy dopiero z biegiem czasu powstaną. Kto wie jak wówczas będzie? Może świat cały będzie jednem wielkiem piekłem, pełnem nienawiści i jadu, morderstw i przestępstw, może anioł pokoju z gałązką oliwną w ręce będzie nad światem całym panował. Ale ja chciałbym widzieć w przyszłości taki świat, jaki wymarzyłem sobie w fantazji, to jest taki, nad którymby zasadniczo panował anioł pokoju. Ludzkość ciągle pracuje nad udoskonaleniem swych wynalazków, uproszczeniem życia, zwalczaniem przeszkód i trudności, a praca owa wydaje plony.

Lecz mimo tych dobrych, szlachetnych, genjalnych jednostek, co światu

„Jeśli jest w legjonach coś fałszywego, to one naprzód daleko nie zajdą, wstrzymają się u wrót serca“. (1923 r.)

chcą dać swe wynalazki nie zniszczenia siejące, lecz pożytkiem obdarzające, są jeszcze inne. Podłe i potworne, złe i głupie. W ich mózgach zrodziła się myśl potworna i zbrodnicza, myśl w imię której będą niszczyć wszystko to, co szlachetne i wzniosłe, co stworzone mozolną pracą tych, coby miłość braterską i pokój chcieli dać ludzkości całej.

Ach widzieć, widzieć owe przejawy życia... Widzieć tę technikę, która niby nieustraszony turysta zdobywać będzie szczyty. Ach widzieć, widzieć ten podły kryzys nękający ludzkość całą, w skonaniu...

Widzieć, nie wiecznie narzekające, zgnębione ciężką, życiową niedolę, nie mające ochoty do dalszego życia istoty ludzkie, lecz twarze tych samych, promieniejące wesołością i szczęściem, tchnące zapałem do życia...

Oby przez te 200 lat to, czego sobie życzę, to co pieszczę memi marzeniami, moją fantazją...

Ale cóż, nielitościwa natura nie pozwala wszakże na to, aby żyć tak długo. Nie pozwala widzieć tego, co marzeniem wysnuwam, co fantazją kołyszę. Więc muszę się z losem pogodzić... Na pocieszenie marzeniami stwarzam świat taki, jaki chciałbym widzieć. A więc zaczynam. — Wstaję rano i udaję się do łaźni. Wziąwszy ubranie do ręki, zauważam, że jest splamione i zakurzone, wkładam je do małej skrzyneczki metalowej, odkurzacza i po kilku minutach wyjmuję je całkiem jak nowe. Wkładam i udaję się przed lustro, aby spojrzeć czy dobrze na mnie leży. Składa się ze zwyczajnych krótkich spodni i bluzy, bez żadnych krępujących kołnierzyków i upiększeń. Namyślam się coby tak zjeść na śniadanie. Już wiem. Naciskam u stoliczka guziczki numer 2 i 5, a natychmiast z metalowej ścianki szafy wysuwa się mały wagonik żelazny z talerzykami, na których widnieje kilka bryłek skondensowanego mleka i kawałków substancji spożywczych. Ledwie zdążyłem połknąć ostatni kęs, gdy zabrzmiał dzwonek od telefonu, a w zwierciadle nad nim ukazuje się odbicie mego towarzysza, który do mnie telefonuje. Po krótkiej rozmowie, z której dowiedziałem się, że towarzysz wzywa mnie do siebie, naciskam guzik, a naczynia wsuwają się z powrotem do szafy. Biorę płaszcz z wieszadła sam (bo służących wogóle niema) i udaję się windą do stacji aerobusowej na dachu jednego z domów. Wsiadam i fiut! za pół godziny będę w Kolonji, (bo mój towarzysz jest Niemcem i w swoim kraju mieszka. Przez okienko widzę miasta kwitnące, pola uprawne, lasów niestety już niema. Mnóstwo aerobusów i aerostatków krzyżuje swe loty w przestworzach. Na jednej ze stacyj wysiadam, gdyż dalej mam przyjemność jechać morzem. Ach cóż to za przyjemność. Okręt szybko tnie fale, mija porty, w których stoją liczne okręty. Wszędzie ruch i wesele. Nie widać nigdzie kłótni ni bijatyki. Towary są przesłane bez opłat i przeszkód, bo niema żadnych granic celnych ni cła. Wszystkie kraje zjednoczyły się w jedno wielkie państwo. Niema już różnic stanowych, ani nienawiści rasowej. A jaki spokój na ziemi panuje!

Widzę to o czem dawniej śniłem. Witam się z przyjacielem z rodowitym Niemcem. Braterski uścisk dłoni nie przynosi ani jemu, ani mnie ujmy w honorze. Już to dawno poszło precz. Rozmawiamy w języku „Esperanto“ t. j. w wszechświatowym.

Noc. Ulice oświetlone tak rzęsiście, że zupełnie jest widno. Ruch panuje ożywiony. Na ulicach niema już stróżów porządkowych, gdyż nareszcie zrozumiano, że człowiek sam powinien się poczuwać do obowiązku czuwania nad porządkiem. Atmosfera świeża i lekka. Olbrzymie pochłaniacze umieszczone na dachach domów, połykają wszystek pył i kurz, a wentylatory oczyszczają powietrze. Ludzie są spokojni, że już nie zostaną okradzeni, więc nie zamykają

na noc sklepów ni mieszkań“.

Oto jak wyobrażam sobie przyszły świat. Oby Bóg dał, aby owe jak sam nazywam marzenia, ziściły się. Żeby nad światem zapanowały: spokój, braterska miłość, szczęście. Daj Boże, aby nareszcie wszyscy, a nie jednostki, zrozumieli, że spokój może wtedy zapanować, gdy ludzkość wyrzecze się swych wad i błędów, a wynalazki swe obróci na pożytek, a nie na zgubę tego, co genjalna jednostka na uproszczenie i ułatwienie życia stworzyła.

Tadeusz Kulisiewicz, G.P.H.S.

DLA POLSKI.

Na niebie gwiazdy mrugają złotawe,
Gdy w sercu budzi się uczucie głodu,
Pokarm ducha! Więc karty żółtawe
Przerzucam, czytając dzieło mimo
jesiennego chłodu.
Przeszłość Polaków i naszej Ojczyzny,
Wzmagania synów w kajdany zakutych.
Dziś wolnaś Polsko! lecz Twe święte
blizny,
Mówią o wrogach, z miłości wyzutych.
Dziś jeszcze, wróg nasz czycha na granicy
I dawne hasła krwiożercze wykrzesa,
Więc miecz Chrobrego trzymajmy
w prawicy.
Gdy trzeba będzie, oddamy i życie,
Za naszą Polskę i naród kochany.
Nasi następcy plon zbiorą obficie —
Na polu chwały!

H. R., P. Sz. Z. ż.

ZA CO KOCHAM...

Kocham Cię za śliczne ranki,
Za cudny, różany blask,
Za złotych chmurek firanki,
Za wschodzący słońca blask.
Kocham Cię: bo w drzew twych cieniu,
Mogę śnić przepiękne sny,
Bo w Twego słońca promieniu,
Pierzchają smutek i łzy.
Kocham Cię, gdy mrok zapadnie
I księżyc wyjrzy z poza chmur,
Gdy w duszę moją się zakradnie
Srebrno-różowy marzeń sznur...

Janka K., P. Sz. Z. ż.

PŁYŃMY PRZEZ ŻYCIE...

Płyńmy przez życie, jako łódź przez
morze,
Śmiało, odważnie, prujmy przeszkód fale!
W tej trudnej walce Bóg nam dopomoże,
Jeśli się tylko będziem modlić stale.
Jak łódź za sobą zostawia bałwany,
Pokryte masą śnieżno-białej piany,
Tak my winniśmy zostawić po sobie
Dzieła żywotne, gdy legniemy w grobie.

Wiktorja, Państw. Sz. Z. ż.

CZY WRÓCI.

W pogoni za echem milknie konik kary,
Leci przez bezdroża, gdzie go słuch nie
myli.
Na nim siedzi jeździec jakby posąg szary,
Zda się, że on fruwa skrzydłami motyli.
Już myślą do celu za chwilkę dobiega,
A tętent kopyt śpieszny się rozlega.
W powiewie wiatru słychać to szum rzeki
To odgłos dzwonów, to gdy słowik nuci.
Więc tłumi oddech... pędzi w kraj daleki,
Lecz czy powróci, czy wróci, czy wróci.

Z. K., P. Sz. Z. ż.

WSPOMNIENIE WAKACYJNE.

Pociąg ruszył. Mknęłyśmy szybko na odpoczynek letni do jednego z zakątków Polski, Podkarpacia. Poza szybami wagonu, jakby w kalejdoskopie, przesuwały się uśpione wioski, lasy i pola.

Usnęłam ukołysana rytmicznym stukiem kół pociągu. Gdy obudziłam się, zauważyłam, że jestem już w okolicach Krakowa: zbliżamy się do celu naszej podróży. Po kilku godzinach w oddali, jakby przez mgłę zarysowały się góry, częściowo pokryte lasami. Droga szła ciągle pod górę. Maszyna ciągnęła długi sznur wagonów, sapiąc ze zmęczenia. Wkońcu stanęłyśmy u kresu kolejowej wędrówki. Tu czekały na nas wozy, które miały nas zawieźć do naszej przyszłej siedziby. Podróż ta była o wiele przyjemniejsza, niż podróż pociągiem. Konie ciągnęły nas dobrze, na wozach panował humor, ginęłyśmy w tumanach kurzu, wywołanego jazdą.

Wreszcie wjechałyśmy do wioski, składającej się z kilkunastu chat, szkoły i kościoła. Na siedzibę naszą przeznaczono szkołę, lokal dwuizbowy. Nazajutrz, po

„Trzeba mieć silną wolę i podnieść siebie, a przyszłość jaśniejszą będzie, niż smutne nieraz „dzisiaj". (1922 r.)

dobrze przespanej nocy, wybiegłyśmy wszystkie na podwórze. Poranek był piękny. Leśne mgły opadały, a z za gór wyjrzało jaskrawe słońce.

Dn. 7 lutego 1933 r.

W. Krzemieńska, ucz. kl. II B.



Jeden z wielu statków towarowych transoceanicznych w porcie gdyńskim.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.



— **Od Redakcji.**

Zebranie Komitetu Redakcyjnego odbędzie się dnia 20 marca o godz. 17,30.

Zebranie Kierowników Działów dnia 27 b. m. o godz. 17,30.

Redakcja przypomina delegatom, zbierającym prace do Nr. 4 „Świata Szkolnego", że winni je przynieść na opowyższe zebranie.

— **Z Komisji Porozumiewawczej Kół Pracy dla Państwa im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.**

Dnia 12 lutego Komisja Porozumiewacza zwolniła na własne żądanie ze stanowiska przewodniczącego Komisji kol. A. B. Charłozińskiego (G. P. T.). Większością głosów wybrano na przewodniczącego kol. Juszczaka (G. P. H. S.)

— **Z życia „Samopomocy" przy G. P. R. T.**

W dniu 1.III Zarząd „Samopomocy" podał się do dymisji i przystąpiono do wyborów nowego Zarządu w skład którego weszli koledzy: Kostarczyk — prezes, Pawłowski — v.-prezes, Petrykat — sekretarz, M. Mielczarek — skarbnik.

— **Z akademji ku czci prez. prof. Ignacego Mościckiego w G. P. J. S.**

Dnia 1 lutego r. b. odbyła się w naszem gimnazjum akademja, urządzona stara-

niem Koła historycznego. Na program akademji złożył się referat, deklamacje solowe i śpiew solowy. Akademja rozpoczęła się odśpiewaniem hymnu narodowego, poczem kol. Tymińska odczytała referat, w którym scharakteryzowała naukową i polityczną działalność p. prez. Mościckiego.

Deklamacje i śpiew urozmaiciły obchód. Duże wrażenie na zebranych wywarła, zwłaszcza deklamacja wiersza p. t. „Panie Prezydencie", wygłoszonego przez kol. B. Siwczyńską. Z uczuciem wypowiedziała również wiersz p. t. „Świt nastał" kol. M. Leszczyńska.

Obchód zakończył się odśpiewaniem „Roty". H. O.

— Z wieczorku w „Związkówce".

Dnia 11.II odbył się w sali gimn. „Związkowego" przy ulicy Miedzianej wieczorek taneczny urządzony staraniem uczniów klasy VI. Wieczorek udał się doskonale. Do tańca przygrywał dobry zespół orkiestrowy. Nastrój wieczorku był ogromnie miły, chociaż początkowo było na sali o wiele więcej dziewczynek, niż chłopców. Bufet był bardzo obficie zaopatrzony. Około 9-ej zarządzono 20-o minutową przerwę, w czasie której gospodarze zabawy zaprosili wszystkie panie i panów na kolację do bufetu.

Wszyscy obecni czuli się na wieczorku dobrze. Gospodarze starali się z dobrym skutkiem wywołać na sali wesołość. Trzeba również zaznaczyć, że dekoracja obu sal była pomysłowa i ładna. Rysunki i sylwetki na ścianach wykonane były przez ucznia IV-ej klasy i wskazywały na jego duży talent dekoratorski.

H.—O.

— Z wieczorku Kół Pracy dla Państwa.

Dnia 26 lutego w salach państwowego gimnazjum im. R. Traugutta odbył się wieczorek młodzieży ze wszystkich prawie szkół średnich w Częstochowie. Młodzież bawiła się ochoczo i swobodnie. Tańczące pary podzielono około godz. 20 wieczorem na trzy grupy, z których każda kolejno udawała się do sali zamienionej na bufet. P.P. Dyrektorzy, PP. Profesorowie i Opieka przyglądali się tańczącej z werwą młodzieży i choć całem sercem życzyli wesołej zabawy to jednek, ze względu na to, iż młodzież następnego dnia miała obowiązki szkolne, przerwali tany w punkcie kulminacyjnym rozochocenia się zabawą o godz. 10 wieczorem. Tańce prowadzili kol. Koss Stanisław (G. P. T.) i kol. Szecówka (P. P. H. S.)

Gospodarzami mile zorganizowanej zabawy byli: kol. K. Więckowski, W. Sojecka (G. P. J. S.), W. Kühnówna, Masłoniówna (Sem. Żeńsk.), kol. Juszczak (G. P. H. S.) i kol. Charłoziński (G. P. T.). Do tańca przygrywał pierwszy zespół 27 p. p.

— Z wieczorku tanecznego przy P. S. Z. Ż.

W dniu 18 ub. m. odbył się wieczorek uczenic Państwowej Szkoły Zawodowej Żeńskiej przy ul. Dąbrowskiego. W pięknie udekorowanej sali gimnastycznej, zamienionej nie do poznania na prawdziwą salę balową, młodzież wszystkich szkół bawiła się z miłemi uczennicami. Z powodu frekwencji nie można było swobodnie tańczyć w przepełnionej sali „balowej" i wiele par bądź to próbowało tańca przy transmisji radjowej na wyższem piętrze, bądź też na wolniejszym od osób, korytarzu. Nastrój panował naprawdę wesoły. Wodzirejem obwołano kol. Miklasa (G. P. T.), który ku uciesze tańczących zapowiadał jak najwięcej modnych tang.

— Z wieczorku w Gimn. SS. Najśw. Rodziny z Nazaretu.

Dn. 25 lutego b. r. odbył się w sali gimnazjum wieczorek dla klas VIII, VII i VI. Wieczorek zgromadził wszystkie uczenice tych klas, jak również grono nauczycielskie. Gustowne udekorowanie sali podnosiło nastrój wieczorku, na program którego, oprócz zwykłych tańców, złożyło się wiele miłych atrakcyj, jak taniec japoński w kimonach, monolog, kotyljon, loterja i t. p. Uczestnicy wieczorku bawili się ochoczo. Dochód z wieczorku przeznaczono na kolonje letnie dla uczenic gimnazjum.

W niedzielę dn. 26 lutego b. r. urządzona była dla najmłodszych koleżanek zabawa, która również pozostawiła po sobie miłe wspomnienie.

„Wśród ludzi, którzy w trudnem swojem życiu ciężkie łamali przeszkody i którzy mimo to nadal będą optymistami, spokojnie można mówić o trudnościach które przyszłość nastręczy". (1922 r.)

— **Z przedstawienia w I gimnazjum.** Dnia 18 i 19 odbyło się w sali G. P. H. S. przedstawienie. Odegrana została znakomita komedja Grzymały - Siedleckiego p. t., ‚Spadkobierca". Była to impreza ze wszechmiar udana. Wybór sztu ki był nadzwyczaj trafny. Komedja Grzy mały-Siedleckiego jest bowiem sztuką pełną zdrowego i szczerego humoru. Nie które jej momenty n. p. scena między Józefem Siekierką senjorem, a jego synem, wywołały na widowni ogromnie dużo wesołości. W przedstawieniu wzięły udział uczenice państwowego seminarjum ochro niarek i uczniowie I gimnazjum klasy 8-a. Sztuka wyreżyserowana była doskonale przez p. Sulimę. Wszyscy wykonawcy stanęli w zupełności na wysokości zadania.

Wśród postaci kobiecych grą swą wyróżniła się koleżanka Kaźmierska w roli pani Botkowskiej. Miała ona nadzwyczaj wdzięczną rolę, którą odtworzyła z dużą werwą. Kol. Kaźmierska grała z ogromną swadą; niektóre jej powiedzenia wywoływały na sali wybuchy szczerego śmiechu.

Pozostałe wykonawczynie, a więc kol. Hadlerówna w roli pani Katarzyny, kol. Dziembkówna w roli Babci i kol. Rozmanitówna w roli pani Wodziejewskiej, gra ły również badrzo dobrze.

Wszystkie role męskie odtworzone zostały bez zarzutu. Doskonale zwłaszcza grali kol. kol. Stanisz w roli Józefa Siekierki — ojca, oraz Nowakowski, spadkobierca majątku w Samosękach; około tej postaci skupia się właściwie cała akcja komedji. Kol. T. Woźniakowski w roli sentymentalnego praktykanta - agronoma, kol, Sypek w roli chłopa Ćwierciaka i kol. Kałczyński w roli kamerdynera Antoniego, wywiązali się doskonale ze swego zadania. Kol. Kałczyński wyróżnił się bardzo dobrą mimiką. Zarówno wybór sztuki i reżyserja, jak i dobra gra artystów, zasługują na uznanie. H. O.

— **Z wieczorku w I gimnazjum.** Ostatniego dnia karnawału, t. z. 28-go lutego r. b. odbył się w sali I gimn. wieczorek taneczny, urządzony staraniem klasy 8-a. Wieczorek udał się bardzo dobrze.

Gospodarze zabawy przygotowali dla obecnych szereg miłych i pomysłowych niespodzianek, które przyczyniły się do uprzyjemnienia wieczorku. Między innemi urządzili oni loterję fantową, w której wygrać można było piękną, drewnianą szkatułkę. Loterja wzbudziła wśród uczestników zabawy duże zainteresowanie. Fanty rozlosowano pod koniec wieczorku.

Nastrój wieczorku podnosiła bardzo dobra orkiestra, która grała wszystkie najmodniejsze przeboje sezonu, oraz oryginalna i gustowna dekoracja sali.

Ostatni w tym karnawale wieczorek udał się naprawdę bardzo dobrze. H. O.

— **Sprawozdanie z Kółka polonistycznego przy G. P. J. S.** Do Kółka polonistycznego, zorganizowanego na terenie naszej szkoły, należą uczenice trzech klas najwyższych. Człon kinie Kółka opracowują referaty, wygłaszając je następnie na zebraniach. W tym roku objęły nasze zainteresowania współ czesną powieść — obcą i polską. Powodzeniem cieszy się zwłaszcza Goetel, ponieważ do tej pory zreferowano kilka jego książek podróżniczych, oraz powieść „Z dnia na dzień". Do ciekawych referatów należą referaty p. t. „Ocalenie" i „Zwycięstwo" Conrada i Rygier-Nałkow skiej „Dom nad łąkami". W przygotowa niu jest referat o Dąbrowskiej, o „Nieznanym kraju" Kossak - Szczuckiej i o „Żółtym krzyżu" Andrzeja Struga.

Zadaniem Kółka polonistycznego jest również urządzanie poranków literackich i obchodów. W pierwszem półroczu szkolnem urządziło Kółko polonistyczne obchód ku czci Wyspiańskiego; na imprezę tę złożył się referat, deklamacje,

wiersze chóralne i odegranie sceny z „Akropolis“ (Pożegnanie Hektora z Andromachą).

W najbliższej przyszłości Kółko wystawi inscenizację z „Nocy listopadowej“. Przedstawienia urządza wyłoniona w tym celu z grona członkiń Kółka komisja reżyserska.

Kółko polonistyczne rozszerza nasze wiadomości z tej dziedziny literatury i sztuki, której dla braku czasu nie obejmuje program szkolny oraz wyrabia w nas krytycyzm. B. S.

Gmina II-go kursu przy P. S. Z. Ż. urządza dn. 19.III.33 r. o godz. 5 po poł. w sali katedralnej „Uroczysty Wieczór“, ku uczczeniu imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego. Treścią „Wieczoru“ będzie referat, sztuka p. t. „Żyj Polsko“, recytacja i taniec.

Bilety wstępu w cenie od 30 gr. do 1 zł. 50 gr.

ROZMAITOŚCI.

TRENINGOWY LOT

polskiego balonu do granic stratosfery.

Warszawa. — Dwaj znani z bazylejskiego lotu lotnicy polscy por. Hynek i por. Burzyński dokonali w tajemnicy sensacyjnego lotu do granic stratosfery. Lot miał ściśle badawcze cele i osiągnięta wysokość została potwierdzona przez aparaty rejestrujące, które przez cały czas lotu działały bez zarzutu i natychmiast po wylądowaniu zostały sprawdzone.

Start nastąpił z lotniska pod Jabłonną o godz. 6 po poł. na balonie „Polonia“. Jest to jeden z najlepszych balonów, który brał również udział w locie bazylejskim.

Por. Hynek i por. Burzyński osiągnęli wysokość 10.000 m., czyli znaleźli się na granicy stratosfery i troposfery.

Balon „Polonia“ ma 2 tysiące m. sześć. pojemności. Napełniono go jednak ze względu na zmniejszone ciśnienie systemem prof. Piccarda zawartością gazu 75 m. sześć. Dopiero po osiągnięniu zamierzonej wysokości balon rozdął się całkowicie.

Kosz startującego balonu był zaopatrzony w komplet przyrządów Instytutu Badań Technicznych Lotnictwa i państw. Instytutu Meteorologicznego, za pomocą których zebrano b. ważne dane, które już zostały skierowane do obu tych instancji.

Lot trwał godzinę.

Lądowanie całkiem prawidłowe odbyło się pod Piotrkowem. Termometr wykazywał na wysokości 10 km. —59 stopni. Lotnicy mimo że byli ubrani ciepło, ucierpieli bardzo wskutek mrozu. Por. Burzyński odmroził sobie nogi i został przewieziony do szpitala szkoły sanitarnej.

Sensacyjny ten lot, który odbył się w tak wielkiej tajemnicy, wzbudził obecnie zrozumiałe zainteresowanie.

—oOo—

I POLSKA OBFITUJE

w talenty wynalazcze.

Olbrzymią sensację na całym świecie wywował ostatnio eksperyment genjalnego wynalazcy, Marconiego, któremu udało się z pokładu swego jachtu, stojącego w jednej z zatok morza Śródziemnego, zapalić na odległość 3.000 lamp łukowych w Sidney, w Australji.

Epokowy ten eksperyment, stwierdzający nieograniczone możliwości w dziedzinie radja, nie jest nowością, gdyż, jak się okazuje, pierwszym, który pracował nad tym eksperymentem jest Polak, inżynier Michał Keller.

Jeszcze w czerwcu roku 1919 inżynier Keller zwrócił się do władz wojskowych z propozycją przeprowadzenia próby zapalenia na odległość lampy o sile 3.000

świec za pomocą fal radjowych. Prace próbne prowadzone były przy współudziale gen. Wejtko, mjr. Drewnowskiego i kpt. Jawora. W r. 1921 w czasie „Tygodnia Górnośląskiego" inż. Keller dokonał za zgodą prezesa komitetu. hr, Zamoyskiego, próby zapalenia światła elektrycznego z aeroplanu w locie. Terenem eksperymentu było lotnisko Mokotowskie. W r. 1922 za zezwoleniem dyrektora poczty okręgu krakowskiego, wiceprezydenta inż. Makarewicza, dokonał inż. Keller w Zakopanem próby z falami świetlnemi na dystans 2.000 mtr. W r. 1928 opatentował w urzędzie patentowym w Warszawie wynalazek, polegający na uruchamianiu dzwonów kościelnych w drodze radjo komunikacyjnej, a więc na tej samej zasadzie co zapalanie lamp z odległości. Przy zastosowaniu tego wynalazku wszystkie dzwony w Polsce mogą rozbrzmiewać jednocześnie.

Ostatnim wynalazkiem inż. Kellera jest skonstruowanie aparatu, polegającego na tem, że dźwiękom odpowiada ilustracja barwna każdej gamie dźwiękowej — gama barw. Rytmowi fortepianu odpowiada rytm błyskawic świetlnych odpowiednio zabarwionych. Każdej tonacji dźwięków odpowiada odnośna tonacja barw, przyczem sile dźwięku — forte lub piano — odpowiada intensywność barwy.

Jak twierdzi inż. Keller, konsekwencją nowego wynalazku będzie możliwość przenoszenia ruchu na odległość, tak, że np. ktoś grający na fortepianie w Londynie będzie wprawiał w ruch klawiaturę fortepianu w Warszawskiej Filharmonji. Wynalazek ten demonstrowany będzie wkrótce w obecności przedstawicieli świata naukowego.

(—) Odnaleziony potomek tarpana. Na południu wschodniej Europy żyły jeszcze przed stu laty tabuny dzikich koni, t. zw. tarpanów. Konie te pasły się na stepach południowej Rosji, a stąd rozchodziły się po całej Europie, docierając w dużych stosunkowo ilościach do Polski. Najwięcej koni tych było w południowej części Lubelszczyzny. Niedawno profesor hodowli na studjum rolniczem w Wilnie dr. Vetulani, zainteresował się rasami konia chłopskiego w Polsce. Objeżdżając Lubelszczyznę natrafił w okolicach Biłgoraja na gatunek konia, w zupełności przypominający tarpany. Okazało się, że tarpany nie wyginęły. Charakterystyczne cechy tego gatunku odpowiadają dawnym opisom. Konik posiada popielato - szarą maść, zgrubienie wiązań na nogach, a pozatem charakterystyczne wymiary czaszki. Wykrycie tarpana w Polsce stało się sensacją wśród zoologów. Cały świat naukowy zainteresował się biłgorajskim konikiem. Prof. Vetulani wykupuje koniki znajdujące się u chłopów i przeznacza je do ogrodów zoologicznych. Ma takiego konia ogród zoologiczny w Berlinie, ma również Poznań, a obecnie otrzyma młodą klacz ogród zoologiczny w Warszawie.

(X) **Monarcha, który się koronuje co roku.** Król Ugandy obowiązany jest co roku koronować się na nowo. Ceremonja rozpoczyna się od kazania biskupa Ugandy, poczem król staje na wzniesieniu i najprzód po angielsku, a potem w miejscowem narzeczu, dziękuje rządowi angielskiemu za opiekę. Następnie król udaje się do swego pałacu, składającego się z kilku prostych chat. Tam oczekuje go prezes ministrów i wkłada mu na głowę koronę, w której król pod wielkim parasolem odbywa spacer po swoich włościach. W ceremonji tej przyjmują udział wszyscy obecni europejczycy oraz szeikowie arabscy.

(X) **Przysłowia tureckie.** Łaskawe słowo wyciąga żmiję z lochu, złe zaś słowo czyni z człowieka bezbożnika.

Gdy opowiadają niewidomemu, że świece podniosły się w cenie, odpowiada: „Co to mnie obchodzi".

Póki przechodzimy przez most, musimy nawet djabła nazywać naszym „ojcem".

Róża nie bez kolców, przyjaźń nie bez wad.

Fałszywy pieniądz i zły towar powracają do swego właściciela.

Gdy powiedzą: „Na niebie odbywa się wesele", kobiety spieszą ustawić drabinę.

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

Kol. St. Mizerska (P. S. Z. Ż.). Praca nieaktualna.

Kol. Dziób (Sz. H.) Pracę umieścimy w następnym numerze.

Kol. Wójcik (G. R. P.) Z braku miejsca nie umieściliśmy. Pracę p.t. „Wycieczka do Gródka Pomorskiego" umieścimy w następnym numerze pisma.

Kol. D. (Sz. H.). Wierszy nie zamieścimy.

Kol. S. R. (G. P. T.). Karykatury kolegi znajdą miejsce w następnym numerze pisma.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

SZARADA SYLABOWA.

Uł.: „Winc—kowski" G. P. T.

(5 punkt.)

Z podanych poniżej sylab, ułożyć 7 wyrazów tak, aby litery początkowe i końcowe czytane w kierunku pionowym, dały właściwe rozwiązanie.

Sylaby: dus — dził — el — fri — gi — gno — i — jun — la — land — les — lius — me — mi —nik — or — po — ran — re — te — ty — u — za.

Znaczenie wyrazów: 1) Przyrodnik polski, 2) kartograf niderlandzki, 3) miasto w Siedmiogrodzie, 4) wyspa należąca do kraju Grinnela, 5) chłodny w jęz. obc., 6) źródło in., 7) bractwo założone we Francji, przez Baptote de la Salle.

ARYTMOGRYF.

(4 punkty).

Litery wstawione w miejsce cyfr, według podanego klucza, dadzą aktualny apel do młodzieży.

20	12	14	13	2	7	20	5	8	5
6	17	12	15	17	1	11	12	8	20
9	10	5	2	7	20	5	8	18	1
5	2	13	11	12	4	17	3	10	14

Klucz pomocniczy:

1) 1 2 3 4 5 6 7 8 — boginie kierujące losem bitew.

2) 9 2 6 10 2 11 12 — zbroja, pancerz.

3) 13 14 15 9 17 10 — jeden z bogów gigantów.

4) 18 1 5 13 — brzask,

5) 11 20 9 8 21 2 13 — szkic, wzór.

DEPESZA.

(4 punkty).

Z liter powyższej depszy, odczytać znane przysłowie.

Bośnia.

Czy wójt Jaś kupi papugi

O. Dick.

Gdzie oni mieszkają?

(1 punkt).

STAN. WYRSKA
WŁADYS. OPOCZKO
WACŁ. OWORNI
WŁ. RASAJO
B. KOSIAŁYT

Za zdobycie największej ilości punktów Redakcja przeznacza szereg nagród książkowych.

Za zdobycie największej ilości punktów w 2-im numerze „Działu Rozrywkowego" Redakcja przyznaje 1-szą nagrodę w postaci książki p. t. „Historja 205 pułku piechoty ochotniczej im. J. Kilińskiego" kol. Ch. Stysińskiemu (G. P. H. S.), 2-gą nagrodę książkę p. t. „Nasz Plac" kol. Marji Jabłońskiej (S. S. Zmartw.), 3-cią nagrodę książkę p. t. „Prawo Pogranicza" kol. Z. Iwańskiemu (G. Zw.)

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z Nr. 2.

Logogryf:

POWSTANIE STYCZNIOWE.

1	**P**ACKARD
2	**O**PEL
3	**W**ALTER
4	**S**PA
5	**T**ATRA
6	**A**GA
7	**N**APIER
8	**I**TALA
9	**E**SSER
10	**S**TEYR
11	**T**RIUMPH
12	**Y**
13	**C**ADILLAC
14	**Z**EDEL
15	**N**AGANT
16	**I**ORDAN
17	**O**KLAND
18	**W**ILLS
19	**E**XELSIOR

Bilety wizytowe:

LEKARZ.

PROFESOR.

ROBOTNIK

LISTONOSZ

Kwadrat matmatyczny.

1/3	5	4 2/3	1 1/3
4	2	2 1/3	3
2 2/3	3 1/3	3 2/3	1 2/3
4 1/3	1	2/3	5 1/3

Trójkąt magiczny:

KARNAWAŁ.

K

M **A**

K I **R**

K R A **N**

H A L K **A**

W A C Ł A **W**

N I R W A N **A**

P R A C O W A **Ł**

Kwadrat magiczny:

Z	Ł	O	T	O
Ł	E	P	E	K
O	P	E	R	A
T	E	R	A	Z
O	K	A	Z	Y

Kurator: **Dr. H. Płodowska.** Red. odp. kol. **A. B. Charłoziński.**

Korespondencje nadsyłać pod adresem Redaktora kol. **A. B. Charłozińskiego,** II Gimn. Państw., Aleja Wolności 13.

Zakłady Graficzne F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie, III Aleja 52, tel 2-45.